

I

Zauchę zbudziło głośne pukanie w ścianę.

Otworzył oczy i przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje.

Otaczała go absolutna ciemność.

Pukanie ponowiło się.

– Dobrze, dobrze, dziękuję, już wstaję! – zawołał.

Westchnął głośno, poleżał chwilę, a potem zerwał się i dygocąc, z zimna zaczął się ubierać. Na pół ubrany otworzył okno i kilku uderzeniami ramy okiennej odepchnął okiennicę.

Był jasny, zimny, jesienny poranek. Na trawie leżał szron.

Myjąc się, Zaucha myślał z irytacją, iż tydzień już mija, jak przyjechał do Bielowa, a dotychczas nie udało mu się zdobyć odpowiedniego mieszkania. Czuł, że wchodziła tu w grę Helenka, i nie wiedział, jak wybrnąć z tej trudnej sytuacji. Nie chciał być brutalny, przyznając może w duchu pewną słuszność zresztą nieuzasadnionym podejrzewaniom, z drugiej stro-

ny jednak nie mógł rozpakować koszyka ujętego w chytrze skombinowaną sieć sznurów, nie mógł wypakować bielizny, książek, nie mógł się zabrać do pracy. Denerwował go brud i nieporządek w tym obcym pokoju, wyznaczonym mu czasowo na mieszkanie.

Ubierał się z nerwowym pośpiechem. Nie miał zegarka, nie wiedział, która godzina. Wreszcie zły, przemarznięty, ze zgrabiętymi rękami, szamocąc się z rękawem nieposłusznego płaszcza, wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, i szybkim krokiem skierował się przez ogród ku kuchni.

W drzwiach jednej z dacz* pojawił się jakiś drażal w brudnej i oberwanej koszuli, z miednicą w rękach, i patrząc sennie, chlusnął brudną wodą na ścieżkę. O mało nie oblał Zauchy, który go zmierzył oczami i już chciał zwymyślać, gdy wtem usłyszał głos:

– Dzień dobry, kochanemu panu doktorowi! Jakże się spało?

Zza węgła „daczy” wyszedł wójt gminy wygnańczej, radca Kondolewicz, wysoki, w rozpiętym żółtym płaszczu i w sportowej czapeczce, spod której aż na kołnierz, niekoniecznie zresztą czysty, sięgały mu kosmyki dawno niepodstrzyżonych włosów.

– Jedziemy? – spytał, witając się z Zauchą z przesadną, nieszczerą serdecznością.

* Dacza – willa letnia, budowana z drzewa. Okolice miast rosyjskich są ich pełne. Emigranci i wygnańcy polscy podczas Wielkiej Wojny w Rosji przeważnie mieszkali w takich daczach podmiejskich.

– Tak. Muszę załatwić pewne sprawunki. Tak mieszkać trudno. Tu najniezbędniejszych rzeczy brakuje.

– Zapewne. Skromnie żyjemy! – z dziwnie fałszywym akcentem rzekł Kondolewicz.

Szli w stronę kuchni gminnej, pobielanej szopy, wciśniętej w kąt ogrodu za odrapanymi dworkami. Z komina kuchni było prosto w bladobłękitne niebo jesienne białe pasmo dymu, na końcu rozczapierzone i złotaworóżowe w świetle rannego słońca.

– Ostrożnie, panie doktorze, niech pan idzie po desce, bo tu zawsze błoto – napominał radca. – Pomyje i nieczystości Michalinka wylewa wprost przed kuchnię.

– Jak pan to może tolerować! – sarknął Zaucha.

– Cóż, bezsilny jestem, nie mam żadnej egzekutywy!

– Wpływu moralnego na ludzi pan nie ma!

– Moralnego! – zaśpiewał drwiąco radca Kondolewicz.

– Pan nie wierzy w siłę moralną, pan wierzy w różgi – rzucił mu Zaucha, otwierając drzwi do kuchni, z której buchnął cikliwy, mdły zapach tanich potraw, tłuszczu, letniej wody, wyziewów ludzkich i starej odzieży.

Kuchnia, dość duża i wybielona, przypominała czeladnię. Środek jej zajmował ogromny piec. Ściany wylepione szarym, grubym papierem i gazetami, czyjś naiwny gust przybrał jedliną i upstrzył tanimi widokówkami. Na jednej ścianie wisiała mapa Polski i Matka Boska Częstochowska w czerwonej i niebieskiej sukience, obramowana sosnowym wiankiem, w który powtykano różyczki z różowej bibułki. Pod ścianami ustawiono długie, proste, czysto umyte stoły na krzyżakach. Na sto-

le stał dzbanuszek z więdnącymi jesiennymi kwiatkami. Od pieca rozchodził się zapach prażonego mleka i chleba, który, pokrajany na cienkie kostki, suszył się na blasze.

Zaucha usiadł w kącie przy stole, a po chwili dziewczyna kuchenna przyniosła mu potężną kromkę czarnego chleba i szklanę słodzonej herbaty z mlekiem. Posolił chleb i jadł, popijając gorącą „bawarką”.

Stojąc przy stołach, szybko i w milczeniu pili herbatę młodzi chłopcy, którzy jechali do szkoły. Wyglądali wszyscy mizernie, a w tanich, nieeleganckich i nienowych płaszczach nawet biednie.

Koło pieca z pretensjonalnym namaszczeniem kręcił się kucharz gminny Dyrzcz, trzydziestoletni blondyn o porcelanowej twarzy, w której płonęły szafirowym ogniem olbrzymie słodkie, a bezmyślne oczy, z długimi jak u panny rzęsami. Takie panięskie rumieńce, symetryczne, okrągłe, purpurowe, gorzały na jego gładkich policzkach. Jasne wąsiki były wybrylantynowane i podkreślone starannie nad różowymi wargami. W śnieżnobiałym długim fartuchu Dyrzcz był w istocie niepospolicie przystojny, różowy i gładki, zupełnie jak śliczna lalka fryzjerska. Mówił rzewnym, wysokim tenorem lirycznym z wyraźnym lwowskim akcentem. W kącie dziewczyna kuchenna pochylona nad cebrzykiem, w którym myła naczynie, nuciła godzinki, bystrymi oczami obrzucając obecnych lub też zerkając ukradkiem na Dyrzcza.

Zaucha spiesznie wypił swą szklanę herbaty, podziękował za drugą, którą mu usłużnie podsunął Dyrzcz, i wyszedł z kuchni.

– Pan doktor już na stację? Taże jeszcze czas! – powstrzymał go radca.

– Wolę być na powietrzu – mruknął Józef i ruszył ku furtce ogrodowej.

Odetchnął głęboko, kiedy się znalazł za obrębem gminy. Dusił się w tej wygnańczej atmosferze.

Na stacji przed okienkiem kasjera stał już długi „ogonek”. Szumiał i brzęczał małopolski dialekt. Baby szeroko i wymownie opowiadały sobie plotki, gestykulując przy tym wyraziście rękami i strojąc komiczne miny. Przekupki podcinały ludziom nogi twardo wypakowanymi koszykami, zwisającymi z długich nosideł. Zamyśleni, obojętni, jakby wyszarzali, stali w tłumie panowie w urzędniczych czapkach. W jednym kącie żołnierz urlopnik z krzyżem św. Jerzego na piersiach i w kudłatej „papasze” opowiadał młodemu parobkom o kampanii karpackiej, a słuchający go chłopcy zuchowatymi minami starali się dać mu do poznania, iż dorośli do zrozumienia sytuacji. Obok stała grupa Cyganów polskich z Kieleckiego. Ubrani po miejsku, lecz dość dziwacznie, z jakimś nieokreślonym, kolorowym szykiem, otaczali swego naczelnika, małego, dostatnio ubranego człowieka o śniadej twarzy i skośnych oczach w wysokiej barankowej czapie i z nabijaną srebrem palisandrową laską w rękach. Tuż w czarnych i niskich czapczkach rozmawiało półgłosem kilku Tatarów z ponurymi i ciemnymi, zadumanymi twarzami. A wśród tłumu kręcili się mizerni, biednie ubrani i jakby onieśmieleni milczący mieszkańcy gmin wygnańczych, porozumiewający się między sobą półgłosem lub gestami.

– Pan doktor także do miasta? – spytał jakiś głos.

I przed Zauchą stanął biednie, lecz czysto ubrany grubas w jesiennym płaszczu i szarej czapce sportowej, spod której lekko falującymi puklami spływały długie włosy, mające uchodzić za artystyczną fryzurę. Grubas miał twarz zupełnie ogoloną, szeroką, żółtawą i uśmiechającą się pocziwie i łagodnie. W zębach trzymał krótką fajeczkę angielską.

Zauchą uśmiechnął się zakłopotany trochę.

– Pan doktor mnie nie poznaje?

– Ależ owszem...

Przypominał sobie tę twarz ze Lwowa, z Akademickiej ulicy... Grubas wystawał tam stale w południe przed jakimś sklepem z tąż samą fajeczką w ustach i z tym samym uśmiechem, przyglądając się maślanymi z zachwyty oczami promenującej tam i nazad płci pięknej.

– Pan Gwoździk, nieprawdaż? – przypomniał sobie naraz i podając mu rękę, mówił: – A ja słyszałem, że pan już w Kijowie na posadzie...

– Owszem, byłem, ale władze powiedziały: *nie lzia!*, wobec czego musiałem wracać do gminy. Niezbyt mile mnie tu przyjęto – lecz cóż robić?

– I teraz znowu, niezmordowany w poszukiwaniach, do miasta?

– Właściwie to nawet nie do miasta, a tylko na dworzec. Tam są w oddziale pocztowym bardzo wygodne pulpity z wszystkimi przyborami potrzebnymi do pisania. Załatwiam tam swoją korespondencję albo też tak... piszę sobie. Bardzo przyjemnie.

Dokoła ruch, ludzie – a ja do pisania stojąco przyzwyczajony jestem. I tak mi się tam zdaje, że pracuję u siebie w księgarni przy Akademickiej, hehehe...

Pociąg wjechał na stację. W ścisiku Józef zgubił gdzieś Gwoździka, wbił się klinem między przekupki i tak jechał, słuchając ich plotek i układając sobie plan bieganiny po mieście.

II

Wysiadł na ogromnym dworcu i od razu utonął w strumieniu ludzkim. Pociągi ze wszystkich stron pozwoziły ludzi i wysypywały teraz na dworzec prze kupki, urzędników, młodzież szkolną, rzemieślników, kupców i kupcowe. Znajomi witali się i nawoływali, urzędnicy poszczególnych departamentów zbierali się w grupy, słychać było gwar rozmów, krzyki i – jak zawsze – stłumiony trochę powszechną wrzawą śpiew żołnierzy jadących na front. Nad głowami publiczności lśniły długie bagnety wojskowego szpaleru.

W tłumie ujrzał Zaucha znowu różową twarzyczkę radcy Kondolewicza.

Zetknęli się.

– Idę teraz po gazety – mówił radca – a potem przyjdę do „Warszawskiej”. Spotkamy się? Zaucha kiwnął mu głową.

Tłum wlał się w długi, ciemny korytarz, strzeżony po obu stronach przez agentów policyjnych, wreszcie rozprysnął się w okrągłym mrocznym westybulu, aby znowu ścisnąć się u wyjścia, skąd słychać było pisk, kłatwy i śmiechy.

– Jak się macie, doktorze?! – zawołano na niego mazurskim akcentem.

Niesiony tłumem płynął koło niego Zarań, wójt gminy wygnańczej w Liłowiczach. Jego wygolona mazurska twarz, choć sina od chłodu, uśmiechała się dobrodusznie.

– Nie witajcie się, dajcie se pokój, rękom w ty ciżbie nie ruszyć – mówił, widząc, że Zaucha stara się podać mu rękę. – Siedzicie u Kondolewicza?

Jakże wam tam?

Ale tłum ich rozerwał i rzucił Zauchę w najgęstszy ścisk. Po chwili stężenia, podczas którego Zaucha naprężył wszystkie mięśnie, aby się nie dać zgnieść, zrobiło się przestronniej i wolniej. Już ze schodów, wiodących z dworca na ulice, widać było tłumy, skombinowanymi atakami napadające na otwarte wozy tramwaju konnego. Na chodniku stało kilku tragarzy, między nimi i przysadkowate, mocne kobiety. Rozlegały się nieustannie krzyki: „Wańka! Wańka!”. To wołano na *izwoszczyków*, których oczywiście nie było.

Zaucha poszedł do miasta piechotą.

Tuż koło dworca, na schodach, przed wejściem do olbrzymiego, szarego budynku w berlińskim, nowoczesnym stylu, siedzieli ranni żołnierze. Służba szpitalna wynosiła nosze z rannymi, których układano w karetkach samochodowych. Na chodniku przed bramą ranni ustawiali się jakby do przeglądu. Widok tych połamanych i posklejanych ludzi był tak bolesny, że Zaucha odwrócił oczy.

Naprzeciw niego w rozpiętym popielatym płaszczu, w „papasze” zasuniętej na tył głowy, szedł z rozmachem młodziutki

chorąży, zerkający od czasu do czasu z dumą na swe błyszczące jak lustro, wysokie buty z cholewami. Niósł się dumnie i wi- dać było z jego uśmiechniętej twarzy, iż czuje się szczęśliwy.

Na rannych żołnierzy oczywiście ani nie spojrzął. To – oni! A z nim nie ma to nic wspólnego. On – to co innego!

Zaucha uśmiechnął się i powędrował dalej.

Na skrócie ulicy uderzył nań gwałtowny, zimny wiatr stepowy. Uderzenie było tak wściekłe, że Zaucha aż się z- atoczył i szybko chwycił ręką za kapelusz. Wiatr owinał mu szczelnie dokoła łydek cienkie spodnie, wyproszone z tru- dem w kijowskiej „Sekcji Odzieży”, a szyte niedbale przez więźniów, dmuchnął mu zimnem za kołnierz i w rękawy, gołe ręce oparzył piekącym ogniem, szpilki wetknął w oczy i usta. Biedny, lichy ubrany wygnaniec aż syknął i skuliwszy się po- kornie, szedł naprzód, z zazdrością patrząc na tłuste, rumiane „kupczychy”, których drobne, kopytkowate nóżki plątały się w długich połach pluszowych palt. Im dalej wcho- dził w miasto, tym zimniej się robiło i z ulic wiał chłód jak z przemro- żonych korytarzy kamiennych.

– Trzeba wstąpić do „Warszawskiej”, bo zmarznę na kość! – pomyślał Zaucha.

Był to wprawdzie wydatek kilkudziesięciu kopiejek, ale szklanka gorącej kawy z prawdziwym różkiem warszawskim przedstawiała ponętę zbyt kuszącą.

Wyrzucając sobie w duszy słabość i brak charakteru, wszedł po drewnianych schodkach do małej mleczarenki, nad którą widniał szyld „Warszawska Bułoczna”. Usiadł przy wolnym stoliku i zamówił szklankę gorącej kawy.

Kilka stolików mleczarni obsiedli młodzi ludzie w wytartych, dziwnie skombinowanych ubraniach i niemodnych, podniszczonych paltotach – jak to od jednego rzutu oka można było poznać – wygnańcy. Pili kawę, rozmawiali półgłosem lub czytali dzienniki, zacierając czerwone, zziębnięte ręce. Za ladą, na której jednym końcu złociła się piramida „kajzerek” i rogalików, królowała niemłoda już, zawiędła, lecz pełna godności pani, traktująca gości z chłodną wyniosłością. Dwie panienki roznosiły mleko i kawę. Na ścianach tablice z rosyjskimi napisami podawały ceny potraw.

Po chwili do mleczarni z szumnym hałasem wpadła nowa grupa: mieszkańcy trzech gmin wygnańczych: Lesowego, Sośnicy i Liłowicz. W małej salce zrobiło się gwarno, od stolika do stolika rzucano sobie żarty i ploteczki, akcent lwowski zmieszał się z mazurskim. Ludzie z Sośnicy, gdzie znajdowała się najlepiej sytuowana gmina inteligencji, byli lepiej ubrani, zachowywali się śmielej, szumniej, zaś na mieszkańców innych gmin spoglądali z wysoka jak na ubogich krewnych.

Zaucha, który swego czasu objeżdżał był gminy lwowskie, spotkał tu wielu znajomych. Witał się z nimi, rozmawiał i patrzył im w oczy, jak gdyby spodziewał się, że może wyczyta z nich coś, o co zapytać nie śmiał. Czym ci ludzie właściwie żyją? Bo jakżeż? Być tak zarzuconym w jakiś kąt na obczyźnie, żyć wciąż tymi drobiazgami, jakie dzień powszedni podsuwał, dyszeć pustką w pustce i bawić się głupimi intryżkami i ploteczkami? Przecież to na dłuższy czas wystarczyć nie może...

Zapłacił i wyszedł. Zimny wiatr dął z nieustającą siłą, omal, że nie zbijając z nóg przechodniów na skrzyżowaniu ulic.

Zaucha szedł, rozglądając się przez jakiś czas ciekawie. Widział „czasownie”, kaplice takie same jak w Kijowie i w Moskwie, w ulicach domy nierównej wysokości, jedne niskie, drugie posępne, wysokie, z „podjazdami”, w moskiewskim stylu i z okazałymi szwajcarami w bramach. Na rogach ulic czyściciele butów rozmawiali z dorożkarzami i posłańcami, a przez ulicę włókł się tramwaj konny, naładowany i obwieszony marznącymi ludźmi.

Z wolna Zaucha zapomniał, że jest w obcym, wielkim, a mało sobie znanym mieście, i idąc przed siebie długą, prostą ulicą, zamyślił się. Myślał o tym, jakie to ogromne miasto i jak mało właściwie ono go obchodzi, jak nic nie ciągnie go zwiedzić je, poznać, i jak trudno wygnańcowi zacząć się o coś życiem. Zobojętniały wędruje on przez świat, wpatrzony w siebie, jakby umierający i gasnący. Nie bawią go ani nie podniecają nowe widoki, nie zajmują go obcy ludzie, nic go nie obchodzą nawet nagromadzone tu i ówdzie bogactwa kultury, dziwne obyczaje. A przez to strumień życia, tryskający z duszy, a pozbawiony wszelkich dopływów, staje się coraz niklejszy i biedniejszy i dusza z wolna zsycha się i słabnie.

– Sam Bóg zesłał mi w tej chwili tę dziewczynę – pomyślał Zaucha o Helence. Cóż ja bym bez niej tu począł?! A tak – jest przynajmniej o kim myśleć.

Liczył na nią. Był pewny, że przy niej nie grozi mu ani ostateczne zaniedbanie, ani fatalne, tak bolesne osłabienie woli. Wierzył, iż przy jej pomocy będzie mógł nie tylko znośnie się urządzać, ale nawet potrafi zabrać się do pracy i uratować choć odrobinę marnującego się czasu.

Wszedł na most, pod którym wśród żółtych, nieuregulowanych i zaśmieconych brzegów płynęła powoli rzeczulka zgniła, zielonawymi porostami pokryta. W powierzchni jej odbijały się czerwone i zielone ściany jakichś szop i złota czapka stojącej na wyniosłości wysokiej wieży białego soboru. Z niezamiecionych i niebrukowanych bulwarów, z ulic i skwerów nieósł wiatr chmury pyłu i śmiecia, wśród którego wesoło fruwały kolorowe papierki.

Znalazłszy się w środku miasta Zaucha obszedł ogromny, ceglasczerwony, „prisuściennyj dom”, przed którym stały dwie stare, patyną pokryte armaty, minął bulwary wewnętrzne i stąpał ostrożnie po bruku ze śliskich, gładkich, drobnych kafli. Tu i ówdzie wzrok jego padł na przeraźliwie kolorowe afisze kinematografów, czasami znów wygnaniec ocierał się o długie „ogonki” stojące przed sklepami z cukrem lub z naftą, brzęczące babimi, gderzącymi głosami. Przed teatrem znowu „ogonek”.

A dalej już rozpoczęła się zwykła miejska „tura”.

III

Załatwiwszy sprawunki na bazarze i kupiwszy trochę wędlin, bo wikt w gminie okazał się niewystarczający, Zaucha wstąpił do „Domu Polskiego” spytać się o listy. Jak wszędzie we wszystkich „Domach Polskich”, tak i tu zastał w sieniach apatycznych, przygnębionych petentów, wśród których z wielce ważną miną rządził się typowy opryskliwy woźny biurowy